Rok I. Nr. 3.



POPULARNE PISMO LEŚNE.
Miesięcznik, wydawany przez Związek Zawodowy Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Foksal 14 m. 2, telefon 3-60.

WARSZAWA. CZERWIEC 1924 r.

ROMAM PLEWIŃSKI.

Żywicowanie sosny sposobem żeberkowym.

Wskazówki dla straży leśnej.

Większość czytelników widziała już, że w niektórych lasach żywicuje się sosnę, ale może nie wie, dla jakich celów służy żywica. Otóż na wstępie to wyjaśnię. Zebraną w lesie żywicę zakupują przemysłowcy i na fabrykach, zwanych destylarniami żywicy, albo terpentyniarniami gotują ją w odpowiednich kotłach i oczyszczają, otrzymując z niej kalafonję i terpentynę.

Kalafonja i terpentyna mają bardzo duże zastosowanie w przemyśle, a mianowicie:

a) Do wyrobu papieru zużywa się 60 procent kalafonji, a tylko 40 procent innych składników.

b) Do wyrobu mydła zużywa się 20 procent kalafonji.

c) Znaczna ilość kalafonji i terpentyny idą na wyrób lekarstw.

d) Do wyrobu farb i lakierów zużywa się również dużo kalafonji i terpentyny.

e) Fabrykacja smarów osiowych do wozów i smarów do maszyn zużywa 50 procent kalafonji.

f) Smoła piwowarska wyrabia się z kalafonji i terpentyny.

g) Strzeliwo, czyli amunicja do broni wojskowej nie może być wyrobione bez kalafonji.

h) Farba drukarska i czernidła do obuwia wyrabiają się z sadzy z dodatkiem kalafonji i terpentyny. Sadze znów otrzymuje się z żywicy przez spalenie jej w odpowiednio sporządzonych piecach.

Nie wszystko jeszcze wyliczyłem, do czego żywica i jej przetwory — kalafonja i terpentyna — mają zastosowanie, ale i tego wystarczy, aby przekonać się, jak cennym jest ona produktem.

Nie jeden pomyśli, skąd to braliśmy tak duże ilości żywicy przed wojną, kiedy sami nie żywicowaliśmy. Otóż sprowadzaliśmy kalafonję i terpentynę z Francji i Ameryki. We Francji we wszystkich lasach żywicują od kilkudziesięciu lat, a w Ameryce żywicowano już nawet przed 300 laty, ale w Ameryce obecnie żywicują znacznie mniej, bo dużo lasów wycięto. Niemcy przed wojną też nie żywicowali, bo mogli niedrogo kupić żywicę we Francji i Ameryce, a i robotników też mieli mało, gdyż sprowadzali ich nawet z Polski, więc nie robili prób żywicowania, nie będąc pewnymi, czy im się to opłaci. Nastała wojna, Niemcy zostały odcięte od Francji i Ameryki, żywicy nie było można sprowadzić. Przysłowie mówi, że potrzeba jest matką wynalazków. Sprawdziło to się na Niemcach. Wiedząc, że żywicy znikąd nie dostaną, zaczęli robić sami próby żywicowania. I okazało się, że żywicowanie, to nie jest nadzwyczajna mądrość, że każdy — byleby tylko chciał — może je wykonać. Z początku pójdzie mu trudniej, ale wkrótce przy dobrych chęciach nabierze wprawy i będzie żywicował nie gorzej od Francuza lub Amerykanina. Okazało się też, że i sosna nasza ma

nie mniej żywicy od francuskiej lub amerykańskiej, a nawet i nieco więcej.

Widząc w czasie wojny, jak Niemcy u nas żywicowali, niejeden pomyślał, że takie żywicowane drewno nie wiele warto, bo żywica z niego, jakby krew z człowieka, została wypuszczona. Mniemanie to jest zupełnie mylne. Wieloletnie doświadczenie we Francji wykazało, że jest przeciwnie, że drewno żywicowane jest lepsze, i we Francji jest ono droższe blisko o połowę od nieżywicowanego, zarówno budulcowe, jak i opałowe. Drewno sosny francuskiej jest mniej wytrzymałe od sosny naszej i na wyrób podkładów kolejowych nie mogło być używane, dopiero po żywicowaniu robi się smolne i można z niego podkłady wyrabiać.

Przypatrzywszy się naszej sośnie, przychodzimy do tego samego przekonania. Po przerznięciu sosny widzimy, że drewno jej składa się z rdzenia (małej cewki w środku drewna), twardzieli, przez niektórych mylnie zwanej rdzeniem, o zabarwieniu żółtawem, bielu, miazgi i kory. Obserwując świeżo zerzniętą sosnę w porze wiosennej lub letniej, zauważymy, że żywica wypływa tylko z bielu i miazgi, a nigdy z twardzieli, tak samo przy żywicowaniu żywica może wypływać tylko z bielu i miazgi. Z drugiej strony wiemy z doświadczenia, że biel drewna nawet nieżywicowanego, a więc zawierający w sobie żywicę płynną, ulega psuciu znacznie prędzej od twardzielu nie posiadającego żywicy płynnej, co dowodzi, że zawartość żywicy płynnej, to jest takiej, która przy skaleczeniu drzewa może wypływać, na dobroć drewna nie wpływa. Natomiast obserwując biel skaleczonej sosny zauważymy, że w miejscu okaleczenia biel zażywicza się, robi się smolnym i takie drewno jest trwalsze.

W lasach Zagórskich, w powiecie częstochowskim, żywicowano już sosnę na kilka lat przed wojną. Rozmawiałem z cieślami, którzy stawiali budynki z takich żywicowanych sosen; twierdzili oni, że żywicowane drewno jest twardsze, trudniejsze do obróbki i wytrzymalsze.

Polska potrzebuje rocznie przeszło 1000 wagonów żywicy. Część tego zapotrzebowania pozyskuje się u nas w kraju, a resztę musimy sprowadzać z zagranicy i płacić frankami i dolarami, przez co wartość naszych pieniędzy obniża się. Tymczasem gdybyśmy wszystkie drzewostany przed ścięciem żywicowali, to nie tylko wystarczyłoby nam żywicy na własne potrzeby, ale moglibyśmy jeszcze część jej sprzedać za granicę i poprawić wartość naszego pieniądza, a przytem znaczna ilość robotników miałaby zatrudnienie w kraju i nie potrzebowałaby szukać zarobków za granicą.

Wszystko przemawia zatem aby żywicować, bo przekonaliśmy się, że i sosna nasza znakomicie się do tego nadaje i żywicowanie opłaca się. Jeżeli dotychczas za mało żywicujemy, to głównie dlatego, że służba leśna nie wie jak się do tego zabrać, a niejeden chociaż czytał, a nawet i widział, jak się to robi, to boi się rozpocząć żywicowanie, obawiając się niepowodzenia, innemu znów nie chce się robić sobie jak uważa, niepotrzebnego kłopotu.

Tym, którzy z obawy niepowodzenia boją się rozpocząć żywicowanie mogę powiedzieć, że obawiać się niema czego. Nie święci garnki lepią, mówi przysłowie, a dużo łatwiej nauczyć się żywicować, niż garnki lepić. Ja sam tylko przypadkowo widziałem w czasie wojny, jak Niemcy żywicowali, zauważyłem, jak to się robi, i obejrzałem narzędzia. Po wyjściu Niemców, gdy zostałem leśniczym w lasach państwowych, postanowiłem także żywicować. W leśnictwie gdzie pracuję, nigdy jeszcze nie żywicowano i nie widziano, jak się to robi. Robotnicy, których zgodziłem, z nieufnością patrzeli na przygotowania, ale po miesiącu żywicowania i robotnicy się przekonali, że to nic trudnego, i ja byłem z wyników zadowolony, a na drugi rok przy rozpoczynaniu nie potrzebowałem już wiele tłumaczyć, co i jak robić.

Tym, którzy z lenistwa nie chcą wziąć się do żywicowania, powiem, że nie są dobrymi Polakami, że im dobro kraju na sercu nie leży i nie zasługują na to, aby w leśnictwie służyć, bo każdy leśnik kochający swój zawód, powinien

starać się wyzyskać wszystkie źródła dochodu, jakie las posiada. Niewyzyskanie żywicy jest marnotrawstwem dobra państwowego i dobrobytu krajowego.

Nieraz słyszę skargi leśniczych i to słuszne, że nie mogą żywicować, bo gajowych mają nieudolnych i leniwych, którym nie chce się wyszukać robotników i roboty dopilnować.

Aby zachęcić gajowych do żywicowania, postanowiłem opisać jeden ze sposobów żywicowania. Jest dużo sposobów, ale najważniejsze są: sposób amerykański czyli żeberkowy i sposób francuski. Dla naszych warunków najlepiej nadaje się sposób żeberkowy i ten też opiszę.

Chcąc żywicować, trzeba najpierw postarać się o narzędzia. Trzeba to uczynić zawczasu, zimą, aby gdy nadejdzie wiosna, wszystko mieć przygotowane i odrazu przystąpić do pracy.

Niejednego powstrzymuje od żywicowania właśnie brak narzędzi, gdyż nie wie, gdzie i jak je nabyć, i o nabyciu ich myśli dopiero wtenczas, gdy nadchodzi czas żywicowania, co zwykle jest zbyt późno i żywicowanie odkłada się na następne lata do nieskończoności. Wprawdzie dotąd fabryki nie wyrabjają narzędzi do żywicowania, ale potrafi je wykonać każdy kowal. Narzędzia raz zakupione wystarczą na kilka, a nawet kilkanaście lat.

Do żywicowania sposobem żeberkowym potrzebne są następujące narzędzia:

1) siekiera,

2) ośnik,

3) pionnica,

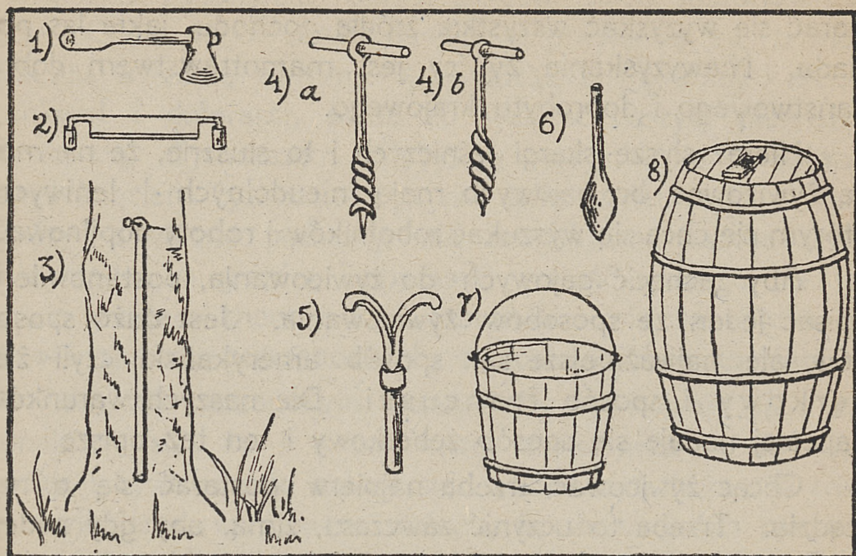
4) dwa świdry o rozwarciu piór 5 centymetrów,

5) żłobik czyli zarzynacz,

6) łyżka do wybierania żywicy,

7) wiadro do zbierania żywicy,

8) beczki na żywicę.



Rys. 1. Narzędzia do żywicowania.

Siekier i ośników nie potrzeba kupować, gdyż zwykle robotnicy na wsi narzędzia te posiadają.

Pionnica jest to szyna żelazna 70 do 80 centymetrów długa, 2 do 3 cm. szeroka i pół cm. gruba, u góry ma wywierconą dziurę, a na dole mały dziób, 2 cm. długi. Potrzebna jest tylko jedna pionnica.

Świdry, takie jak oznaczono na rysunku, o średnicy wierconej nimi dziury 5 cm. należy zakupić gdzieś w składzie żelaza, albo w fabryce, gdzie świdry wyrabiają. Właściwie możnaby używać tylko jednego rodzaju świdra, oznaczonego na rysunku literą *b*, ale ponieważ takim świdrem ciężko jest pracować, to lepiej mieć dwa świdry, jeden taki jak oznaczono na rysunku literą *a* do rozpoczęcia wiercenia dziury, zaś świder *b* do dokończenia dziury. Po dwa świdry każdego rodzaju wystarczy do żywicowania kilku, a nawet kilkunastu hektarów drzewostanu.

Najważniejszem narzędziem przy żywicowaniu jest żłobik, czyli zarzynacz do robienia żeberek. Jeżeli w pobliżu nie żywicują sposobem żeberkowym, gdzie możnaby otrzy-

mać żłobiki, to najlepiej napisać do Nadleśnictwa Gidle, poczta Radomsko, skąd wyślą 1 żłobik na model, podług którego każdy dobry kowal takie żłobiki zrobić może. Muszą one być wykonane z dobrej stali, albo gusstali. Bardzo dobrym materjałem na ten cel są stare zużyte kowalskie pilniki i raszple. 6 do 10 żłobików wystarczy do żywicowania kilkunastu hektarów drzewostanu. Następnie do wybierania żywicy z dziur potrzebne są łyżki żelazne, 4 cm. szerokie, aby mogły swobodnie wchodzić w dziury; są one podobne kształtem do łyżek do jedzenia, tylko więcej proste i w końcu bardziej zwężone. Taką łyżkę każdy kowal nawet bez modelu wykona. Łyżek potrzeba tyle, co i żłobików.

Niezbędnemi narzędziami są także wiaderka do zbierania żywicy, żupełnie takie same jak do pojenia koni, tylko lżejsze, najlepiej z cienkich świerkowych klepek. W końcu potrzebne są jeszcze beczki nowe, zrobione z 2 cm. grubych, wązkich, świerkowych, jodłowych lub sosnowych desek, albo klepek. Wysokość beczek wynosi 80 do 90 cm., o szerokości dna 40 cm., o dwóch dnach. W jednem dnie robi się otwór 10 cm. szeroki i długi, zasuwa się desczułką, podobnie jak to się czyni w skrzyniach do wożenia ziemniaków. Ostatecznie można użyć beczek od śledzi, po dokładnem wymyciu i wstawieniu wierzchniego dna z otworem przez bednarza, ale nowe są lepsze, bo żywica nie nabiera w nich nieprzyjemnego zapachu i innego zabarwienia.

(Dokończenie nastąpi).

Z praktyki w borach kresowych.

(Dokończenie).

Długość, jaką nadać należy odcinkowi, może być bardzo rozmaita: od mniej więcej jednej ćwierci metra do jednego, a nawet czasem i do 2 metrów. Tu trudno określić, kiedy jakiej długości zrobić wycinek; to daje przeważnie doświadczenie. Wady takie, jak „podpar“, chociaż wogóle daleko nie sięgają — większy lub

mniejszy ich rozwój i mniej lub więcej głębokie zajęcie strzały są najprawdopodobniej uzależnione od gleby, na której las rośnie, jej wilgotności, wieku lasu, zwarcia, podszycia i t. p. — w każdym jednak wypadku należy na początku, robiąc „wycinki“, odrzynać krótkie kawałki, lepiej bowiem narazie ponieść pewne koszty na robotę, aniżeli dając zbyt duże wymiary odcinkom psuć cenne odziemkowe drewno.

Na tarty materjał przeznaczone kłody mogą mieć wady, jak powiedziano wyżej, nie zbyt rozwinięte, ale jeżeli kłody maja iść na wyrób „ciosanych“ materjałów, szczególnie eksportowych (ślipry, tymbry), mających ścisłe wymiary, to naturalnie żadnych takich wad mieć nie mogą i w tych wypadkach musi być zrobiony „wycinek“ taki, by przekrój był zupełnie „czysty“, czyli bez podparu, wrośniętej kory, zarośniętego zaciosu,—chyba że wady te są niewielkie, a przytem umieszczone z boku i przy obróbce odpadną, czyli jak się mówi — „wyjdą“.

Najwłaściwiej wycinkom dawać długość gonta. Z nich może też być wyrabiana i klepka przez miejscowych bednarzy. Znacznie więcej komplikuje się sprawa, gdy drewno „zarażone“ jest czerwonym murszem rdzeniowym, który to mursz często zajmuje większą część strzały.

Widoczną oznaką murszu służy huba; bywa jednak często, że huby jeszcze niema, a drzewo posiada już mniejszy lub większy mursz rdzeniowy, uwidaczniający się po ścięciu na pniu (na przekroju). Zdarza się też i tak, że drzewo jeszcze niema huby, przekrój (od pnia) zdrowy, a po rozpiłowaniu na kłody uwidocznia się mursz.

Czasem pozornie bardzo nieznaczna oznaka na strzale daje możność odkrycia zarażenia murszem rdzeniowym, a mianowicie małe skupienie żywicy pod korą przy podrąbaniu końcem siekiery uwidocznia mursz i zaczynającą rozwijać się hubę. Takie miejsca polescy robotnicy dobrze poznają i nazywają „oczyna“ dla odróżnienia od smolnych pod korą nagromadzeń, które mają u nich nazwę „smołokor“.

Rozwój czerwonego murszu rdzeniowego (Trametes Pini), jak to wykazuje obserwacja przy eksploatacji dużej ilości sosen uszkodzonych tą hubą, nie zawsze bywa jednakowo silny, czyli stopień zmurszenia uzależnia się od różnych warunków: pierwszy i chyba najważniejszy warunek — to większa lub mniejsza żywiczność rdzennej części drewna, a także jej gęsto lub rzadkosłoistość. Im drewno żywiczniejsze i posiada wysokie techniczne zalety, t. j. jednocześnie gęstosłoistość, tem zmurszenie bywa naogół znacznie mniejsze i rozwija się bardzo wolno. Tak naprzykład: na strzale drzewa wyrosłego

na dobrem siedlisku jest duża huba. Po przecięciu w miejscu tem i odcięciu z obu części po 1 metrze mursz „wychodzi“ i reszta drewna jest całkiem zdrowa. Zdarza się że zmurszenie drzewa jest tylko na długości jednego metra, pomimo że huba widoczna, czyli że po zrobieniu jednego wycinka metrowego z hubą otrzymywały się kłody zupełnie zdrowe. Natomiast drewno miękkie, z silnego przyrostu, szerokosłoiste, mniej żywiczne — łatwiej podlega zmurszeniu i drzewa takie nieraz okazują się całkowicie uszkodzone przez tę chorobę.

Sosny uszkodzone murszem rdzeniowym, o ile ten zajął większą część strzały, zwykle rozpiłowuje się na tartaczne kłody, oznacza się jednak kolorową kredką (lubryką) na przekroju literą M. Z kłód takich wyrabia się na tartaku tanie materjały budowlane na budynki gospodarcze lub włościańskie, a z boków często otrzymuje się piękne bezsękowe zdrowe tarcice, szczególnie z grubych, odziemkowych kloców. Zresztą kalkulacja miejscowa wykazuje, które z murszywych kłód opłaca się dowozić do tartaku i przecierać.

Zdarza się, że przy najściślejszych oględzinach i zupełnym braku wszelkich oznak murszu, jak zewnętrznie, tak też i na dwóch przekrojach, po rozpiłowaniu na tartaku lub ociosaniu uwidacznia się mursz, jednak przy bardzo ścisłem „badaniu“ takie wypadki na ogół są rzadkie. Tak, przy wyrobie tysiąca kłód na budulec kantowy obstalunkowy znalazło się zaledwie 12 kłód z „ukrytym“ murszem, bo miejsce zarażenia, (zwyle sęk odłamany) zapłynęło doskonale, huba się jeszcze nie „wybiła“, a drewno już częściowo zmurszało.

Na tartaczne kłody dla wyrobu budowlanych materjałów kantowych („brusów“, belek), mających ściśle określone wymiary długości i przekroju należy wybierać kloce bez najmniejszego skrzywienia. Na długie, cenne belki wybiera się pierwsze, odziemkowe kloce. Przy rozcinaniu krzywych strzał należy przestrzegać, by wycięte kłody po rozpiłowaniu na tartaku albo wcale nie dały straty, albo te były minimalne.

Jeżeli skrzywienie jest w jednym kierunku (w jednej płaszczyźnie), to należy dawać klocom taką długość, by skrzywienie to było jak najmniejsze, prawie niedostrzegalne, a jednocześnie wymiar ich był zgodny z wymaganiami rynku. Skrzywienia w dwóch kierunkach trafiają się u sosny bardzo rzadko, w takich wypadkach albo strzałę rozdziela się tak, by skrzywienie kłody było w jednej płaszczyźnie, lub też, w ostatecznym wypadku, gdy tego zrobić nie możemy, robi się wycinek w bardzo skrzywionem miejscu.

O ile tartak posiada wózki podające na trak kłody i przyjmujące już roztarte, które umożliwiają należyte rozpiłowanie krzy-

wych kłód po linji skrzywienia (na „krzywy sznur“), bez najmniejszej straty drewna, to wtedy należy zwracać uwagę, by skrzywienie było w jednej płaszczyźnie. Po linji skrzywienia można wyrzynać tarcice do 5 cm., czyli 2″ grubości najwyżej, lepiej jednak stosować cieńsze wymiary, a mianowicie do 38 mm. i dlatego na „krzywy sznur“ zwykle rznie się kloce cieńsze. Grube odziemkowe części lepiej skracać, aniżeli wycinać z krzywizną. Tarcice wyrznięte na „krzywy sznur“, o ile będą należycie złożone — są zwykle zupełnie wyrównane i mocne, bo słoje w nich nie są przecięte, jak to zwykle bywa przy równem rozpiłowaniu nawet niezbyt skrzywionych kłód.

Podczas ścinania drzewa nie „kładą się” równo, a opierają się o sęki i gałęzie, a także padają często na już wyrznięte kloce, dlatego przy ich rozrzynaniu konieczne jest zachowanie ostrożności, by nie otrzymać kloców z pęknięciami lub „oddziorami“. Często wypada robić z grubych sęków lub drągów podpórki pod rozcinane kłody, zaczynać odcinanie uprzednio rozmierzonej na kłody strzały od wierzchołka. Robotnicy zwykle starają się unikać podpierania odcinanych kłód, bo czynność ta i praca przysparza i czas zabiera, robią to niedokładnie a często, by nie otrzymać powierzchownego oddzioru, rzucającego się w oczy na zrębie, podpiłowują najprzód kłodę naznaczoną z dołu przeciwko znaka i później dopiero ją odcinają. Przy tym sposobie odcinania kłód nieuniknione jest otrzymanie pęknięcia podłużnego w środku kloca, nie widocznego narazie, a po roztarciu takiego kloca otrzymuje się deski popękane na 50 i więcej centymetrów.

Należy jeszcze zaznaczyć, że podczas silnych wiatrów spuszczanie drzew powinno być wstrzymane, gdyż wtedy nietylko nie można nadać drzewu pożądanego kierunku padania, bo ono więcej jest posłuszne wiatrowi, aniżeli sposobowi podcinania i podklinowania, a padając przedwcześnie, niedostatecznie przepiłowane — rozdziera się.

Fr. Ch.

Pogadanki gajowego Marcina.

Rzetelna to prawda, że niemal każdy człek starszy bywa naogół gadatliwy, a jak się jeszcze taki uda, to bajałby ci w nieskończoność, chociażby w kółko o jednem i tem samem, byle tylko chciał kto słuchać tych bajań, a najczęściej o tych wypadkach z życia, w których

bądź sam brał udział, lub też był ich świadkiem. Taki ci też przy każdej sposobności spotkania się z sąsiadami, tak już kieruje rozmową, aby koniecznie wypadało mu opowiedzieć znaną już niejednemu bajdę.

Jaki taki z bliższych sąsiadów nawet nauczył się tej bajki na pamięć, gdyż żyjąc w sąsiedztwie, słyszał ją bez mała ze sto razy.

Nie wiem jak tam Redakcja przyjmie moje dzisiejsze pisanie ale na mój rozum, to powinna wezwać tych co czytają Echa Leśne, aby napisał do gazetki o tem, co w okolicy gdzie mieszka, a ma jaki taki związek z lasem, zdarzyło się ciekawego. A poza nauką byłoby i trochę wesela.

Ja też na dziś mam chęć opowiedzenia, jak to jeden sprytny kolonista, mazur z pod ciemnej gwiazdy, zawołany kłusownik, długie, długie lata, umiał ukryć broń i tylko trafunkiem udało się nam ją odnaleźć.

Prawdziwy krzyż Pański, jak to mówią, mieliśmy z tym człowiekiem. Mieszkał sobie w środku boru, gospodarstwo miał zasobne, bo prócz koni, do dziesięciu sztuk bydła, a innej gadziny było w oborze nawet więcej, aniżeli miał prawo trzymania wedle tabeli.

A i tu umiał obejść prawo bo chociaż procesowaliśmy go, to do żadnej kary nigdy nie przyszło. Urządzał się w ten sposób, że podzielił ilość bydła na dwie połowy i trzymał w oddzielnych obórkach. I nigdy nie można było spotkać tego bydła razem, bo gdy jeden pastuszek pasł połowę w moim obchodzie, to drugi pastucha pewnikiem z drugą połową był w obchodzie sąsiada. Urządzał nam więc sztuki nad sztukami i zawsze był w porządku.

Kłopotu było co niemiara, bo i pasł za darmo, opalał się darmo, siana robił ile chciał, a i budował się również nie za pieniądze.

Jeżeli jaki rój pszczół uciekł komu ze wsi do lasu, to pewnikiem był u Krakowskiego (tak się nazywał). Dworskie stawy w lesie pełne hodowanych karpi, dawały mu rownież ładny dochód.

Niejeden z was czytelnicy pomyśli czytając to pisanie, że byliśmy niedołęgami, jeśli nie umieliśmy ukrócić tej swawoli. Tak by się i zdawało, ale i mądrzejsi od nas próbowali wziąć go sztuką, a zawsze bez skutku, bo na wszystko umiał sztuką odpowiedzieć.

A najgorsze ze wszystkiego było to, że jeszcze w żywe oczy pokpiwał sobie z nas przy spotkaniu, dziękując za całonocne pilnowanie jego obejścia.

Nie mając innego sposobu, z dobrej woli codziennie na zmianę jeden z nas pilnował chałupy, śledząc każdy jego krok.

Nie dodałem najważniejszego, że był ci na całą okolicę znanym kłusownikiem, a polował nie tyle dla korzyści z zabitej zwierzyny, ile dla samej polówki.

Wiedział może nieraz lepiej od niejednego miastowego pana z piórkiem za kapeluszem, co to zawsze na niedzielę przyjeżdżał straszyć biedne zające,—kiedy ciąg słonek, tokowisko cietrzewi lub głuszców, w jakiej porze wychodzi rogacz na żer, w którem kartoflisku stadko kuropatw i ile w niem sztuk. Na zająca nie patrzał, a wnyków ani sideł nie zastawiał.

Takie stałe pilnowanie z naszej strony jednego człowieka, któremu nie mogliśmy dać rady zbrzydziło nam służbę, tem więcej, wobec nieustannych wymówek naszych przełożonych, którzy nierzadko wraz z nami brali udział w ściganiu przestępcy.

Za nieprzespane noce, za ciągłe pilnowanie, za kpiny jego samego i reszty naszych kolegów, niby za nasze gapiostwo, wszystko to wzbudziło w nas chęć zemsty.

Wiedzieliśmy dobrze o tem, że w najbliższem powiatowem miasteczku, gdzie więcej było urzędników jak mieszczuchów, gdy tylko któremu było potrzeba zwierzyny na jaką uroczystość, szedł do sklepiku z papierosami, w którym zaufani mogli dostać również prochu i śrótu i tam zamawiał na dzień oznaczony potrzebną zwierzynę.

Nie było wypadku, aby ktoś skarżył się na zawód. Dostał zawsze co chciał i w porę. A dostawcą był nasz Krakowski.

Długi czas było to wyłącznie jego tajemnicą w jaki sposób lata całe potrafił nas wodzić za nos. Nigdy nie spotkaliśmy go ze strzelbą ani ze zwierzyną. Gdy padł strzał, można było się założyć Bóg wie o co, że w niedługim czasie było nas już kilku w tem miejscu. Zdarzało się nam nawet odnaleźć jeszcze ciepłą sztukę zabitej sarny czy kozła, lecz ani śladu człowieka. A mieliśmy raz na zawsze zapowiedziane, że wystarczy, gdy raz jeden złapiemy go ze strzelbą lub znajdziemy ją u niego.

W końcu, jak mówią, przyszła kreska na Matyska, a dzban wodę nosi do czasu, dopokąd ucha mu nie urwą. I tu, na ten przykład, głupi traf oddał go nam nareszcie w ręce. Może być, że trochę zawiele rozgadałem się o jego zmyślności i przebiegach, ale należało dokumentnie rozpowiedzieć co to był za ptaszek.

Dowiedziawszy się przez zaufanych z miasteczka, że moskale urządzają bal dla rewizora, który przyjechał na rewizję a znalazł wszystko w porządku. Jak tam było doprawdy, to do rzeczy nie należy, ale za to kiedy zwiedzieliśmy się, że Krakowski dostał obstalunek na zwierzynę, postanowiliśmy, że tym razem chyba nie uda mu się zamówienia wykonać.

Pamiętam jak dzisiaj, że bal miał być z soboty na niedzielę, niby w czasie, kiedy po zdrowym wypiciu będą mogli się wylegiwać. Termin na dostawę dwóch sarn i ryb dali czterodniowy. — Na dobrą

więc sprawę przez cztery dni a nawet i nocy gdyby przyszło pilnować to się upilnuje.

Nigdy poprzednio nie mieliśmy takich dokładnych wiadomości jak teraz, prawdopodobnie też dlatego nie udawały się nam zastawiane pułapki.

Z każdej sprawy sądowej wychodził obronnie, bo, jako dostawca zwierzyny, miał zawsze dobre oko u sędziów którzy nam mówili: złapcie go na gorącym uczynku.

Przykszyło się nam życie z nim i służba, ale i jemu chyba bardzo wesoło nie było pomimo pokpiwania.

Jeżeli o zwierzynie wiedział on to i my też wiedzieli o każdej polanie, na której można było spotkać kozła. Umyśliliśmy więc tak, że lepiej będzie kiedy będziemy pilnowali go w domu, a mogliśmy to zrobić, bo już na samym początku wspomniałem, że mieszkał w środku lasu. Droga do pól szła pod samym jego ogrodzeniem. Wychodząc z domu w pole musiał wyjść na drogę. Wprawdzie mógł przeskoczyć ogrodzenie i przeciwną stroną wejść do lasu, ale tam najczęściej już jeden z nas był z zapytaniem—czego szuka?

Dzień jak na złość był upalny, do zachodu brakowało jeszcze dobre cztery godziny, a słońce paliło jak w południe. Siedzenie przy drodze przez kilka godzin z oczami wpatrzonemi w chałupę bez możności zdrzemania się, ogromnie nas znużyło. Dla niepoznaki siedzieliśmy we dwóch, gdy inni dani nam w pomoc, pilnowali polanek, o których wiedzieliśmy, że zwierzyna pewna.

Godziny mijały, nam nijako było szukać chłodu, kiedy chcieliśmy być najbliżej, aby widzieć podwórze. Widzieliśmy, jak Krakowski kilkakrotnie wychodził z izby do obory lub stodoły, a każdym razem rzucił spojrzenie w naszą stronę jakdyby chciał się przekonać, czy siedzimy.

Pokręciwszy się kilka razy tam i z powrotem, zbliżył się w końcu do ogrodzenia i pochwaliwszy, czego zwyczaj, Pana Boga, zaczął sobie z nas dworować, że na taki upał tyle już godzin siedzimy na jednem miejscu a pewnie, że i o głodnym pysku.

— Samiśta sobie winni—powiada—robić to się wam nie chce, wolicie z fuzyjką baraszkować po lesie. Chocia ja to bym waju nie trzymał. Chłopy jak dęby a niezguły, że ola Boga. Wolita słuchać pańskiej trąby i lekki chleb, zamiast wziąć się do cepów lub kosy.

Żal mi was, słonie sielnie grzeje widno będzie słota. Chodźta pod chałupę na przyzbę, a każę waju wynieść kapkę zsiadłego mleka.

— Bóg wam zapłać—powiadam, a w duchu myślę, że kiedy wejdziemy w podwórze toć przecież lepiej upilnujemy, mając go przy sobie.

— Wypijemy chętnie, jeżeli nam sprzedacie, każcie tylko żonie naszykować a zaraz przyjdziemy.

Co prawda to nie grzech, ale kobietę to miał bestyja śwarną, tylko palce lizać. Trochę to i bez to także trudno nam było coś zrobić, bo zawsze człowiek zmiękł, kiedy ją zobaczył. Duchem też zawinęła się i wyniosła dwa uczciwe trzygarncowe siwaki niezbieranego mleka i przed każdym z nas postawiła jeden. Łyżki świecące nie drewniane, na misce osełkę masła i bułkę chleba conajmniej dziesięciofuntową.

— Ależ wy gospodarzu cały bal robicie, a my tu na chwilę i po prawdzie nawet niemamy tyle pieniędzy, aby za ten poczęstunek zapłacić.

— Nie martwta się, skóry z was nie zedrę bo wolałbym z lisa niż z waju, chocia i lisia tera nie wiele warta, bo w tych porach liszka musi naciarachać się niemało, aby wyżywić młode, dlatego i futro ma gałgańskie, bo wyświechtane. Zresztą, Bogu dzięki, mleka nie kupuję ani nie sprzedaje. Jedzta i niech waju wyjdzie na zdrowie, a kiedyś się porachujemy, jak mnie na czem złapieta i będę musiał płacić.

— Oho—myślę sobie—coś on dzisiaj bardzo słodki, tyle lat się znamy, a jeszcze nigdy nas tak nie zapraszał.

Co prawda, to trochę bez niewiastę, a Jaguś było jej na imię, nie bardzo lubił, kiedy zbyt często widział nas w pobliżu — wiedząc o tem, że lubiła z nami wystawać.

Nie wymawiając Panu Jezusowi, podjedliśmy galanto. Tymczasem gosposia wypuściła z chlewka dziewięcioro prosiąt paru tygodniowych, które w te pędy z wielkim kwikiem obstąpiły jedno z koryt leżących w podwórku. Jagna zabrała jeden z siwaków z resztką mleka nie zjedzonego i wlała w korytko. Chciałem ci i ja być usłużnym za taki poczęstunek, więc wziąłem drugi siwak i wylałem mleko w niedaleko pierwszego leżące korytko, dłubane z odziemka kłody sosnowej.

Mówiłem już o tem, że gospodarz bardzo tego nie lubił kiedy widział którego z nas rozmawiającego sam na sam z jego niewiastą.

Więc i tym razem widząc, jak poniosłem za nią mleko i rozmawiam na boku w dodatku nie przy tem korytku gdzie jadły prosiaki, podszedł ku nam z kolegą i tu wszyscy na wyścigi zaczęliśmy chwalić prosiaki, jakie tłuściuchne, rasowe a czyste jak malowane.

— Że czyste to prawda—mówi gospodarz—psia treść baba, dziecka tak nie ukąpie, jak te gady, a wszystko bez to, że ma wywieźć na jarmark.

— Chętnie kupiłbym parkę, a jeżeli pozwolicie to zaraz wybiorę—odzywa się mój kolega—miałaby siostra uciechę a i szwagier nie pa-

trzyłby na mnie krzywem okiem, bo, chociaż zabierają całą ordynarję, jeszcze sobie krzywdują. Ożeniłbym się już i poszedł na swoje, ale jeszcze mi nie pora—mówiąc to, spojrzał na Jagnę, jakby chciał powiedzieć, że ona go trzyma w tym stanie.

— Czego stoisz jak gapa wrzasnął gospodarz, rajcowałaby dzień cały z byle portkami, a słyszy, że maciora dobrze chlewa nie rozwali, wypuść ją niech i ona się pożywi.

Spłoniona na licach Jagna, czemprędzej pobiegła w stronę chlewa, a wypuściwszy maciorę, już do nas się nie zbliżyła.

Maciora, którą obległy prosiaki po kolei obejrzała koryta próżne i wraz z gromadką dziatek swoich zbliżyła się do korytka, przy którem staliśmy, napełnionego przezemnie mlekiem. Ponieważ prosiaki były już najedzone, a maciora w chwil kilka uporała się z tem co w korycie znalazła, przeto świńskim zwyczajem cała familja rozpoczęła ryjami trącać próżne korytko i gdy jeszcze maciora, ryjem jak trąbą dopomogła, w jednej chwili znalazło się ono dnem do góry.

W tym momencie stała się rzecz do wiary niepodobna, a jednak prawdziwa. Gospodarz z wściekłością rzucił się na korytko i kiedy się podniósł, ujrzeliśmy go trzymającego w obu rękach za koniec lufy dubeltówkę, którą z całej siły łożem uderzył w koryto.

W pierwszej chwili ogarnął nas dym, potem huk, który na chwilę ogłuszył mnie, a kiedy przetarłem oczy i chciałem pomyśleć co się stało, ujrzałem gospodarza leżącego bez życia na ziemi, obok zaś chwiał się kolega mój, ale więcej z przestrachu, gdyż jak się później okazało, dostał parę śrócin w lewą rękę. Bogu dziękować wyszedłem cało chociaż stałem bliżej.

Krakowski męczył się jeszcze parę dni zanim umarł po przyjęciu Przenajświętrzego Sakramentu, a całe nasze szczęście, że był chwilami przytomny i mógł złożyć zeznanie przed policją, która niedwuznacznie podejrzywała nas o jego zabójstwo, opierając się na słyszanych poprzednio pogróżkach z naszej strony, że kiedyś gdy wpadnie w nasze ręce, wtedy oddamy mu za wszystkie przykrości jakie z winy jego mieliśmy.

Jak się okazało ze śledztwa, nieboszczyk urządził sobie bardzo sprytnie zachowanko na dubeltówkę po drugiej stronie korytka, jakie na wzór zatworu przy ulach pniakowych wydłubał. Trzymał tam nietylko broń ale i amunicję, a nie zamakało to ani rdzewiało, albowiem korytko było tylko od parady i wcale nie używane. Nie wiedząc o tem, wlałem w nie mleko.

W dniu fatalnym, widząc nas obu stale przy domu, starał się przy pomocy żony odwrócić naszą uwagę w inną stronę, aby w tym czasie wydobyć broń z ukrycia i wyjść z nią niespostrzeżenie do lasu,

lecz kiedy żona stanowczo oparła się temu poleceniu zaczepienia, nas widząc, że pora wychodnego się zbliża i może opóźnić wyjście, postanowił sam działać i w tym celu zaprosił nas do siebie w przekonaniu, że kiedy podjemy będziemy skłonniejsi do odejścia, liczył przy tem także na pomoc Jagny, która gdy nas ujrzy na podwórku, rada będzie z nami zostać.

Kiedy więc ujrzał mnie przy korytku rozmawiającego z żoną, pewny był, że ta zdradziła zachowanko. W tym czasie, kiedy maciora przewróciła korytko i kolega mój schylił się aby uchwycić jedno z prosiąt, jakie miał zamiar nabyć, Krakowski, przypuszczając zamiar dostania się do zachowanka, chcąc nas uprzedzić w wydobyciu strzelby sam ją wydobył, lecz w uniesieniu, aby nie dostała się nikomu, w szale zapamiętania i żalu, bezwiednie uderzył kurkami w korytko, nastąpił wybuch i nieomal dwa naboje dostał w brzuch.

Fatalny ten wypadek, długi czas nie dał nam spokoju i pomimo przedśmiertnych zeznań nieboszyka, ludziska wilkiem na nas patrzyli. A kiedy w dodatku po upływie roku ożeniłem się z wdową, musiałem z tamtych stron uchodzić, chociaż dwór dawał mi inne miejsce o parę mil oddalone.

Taki napozór głupi trafunek, a jakie skutki.

L. T.

Prenumerata kwartalna „Ech Leśnych“ wraz z przesyłką pocztową wynosi 1 Złoty. Cena pojedyńczego numeru 40 gr.

Prenumeratorzy, którzy opłacili prenumeratę kwartalną w r. 1923, otrzymywać bedą do 1 lipca „Echa Leśne“ bez żadnej dopłaty.

Zamówienia zbiorowe powyżej 10 egzemplarzy wysyłane będą pod opaską poleconą.

Wydawca: Związek Zawodowy Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej w osobie prezesa Związku **Józefa Zagórskiego.** Redaktor: **Jan Kloska.**

Zakłady Graficzne „Nasza Drukarnia“, w Warszawie